

# Giżyńska-Burakowska, Halina

---

## Moja sierpecka edukacja : (wspomnienie)

---

Notatki Płockie 38/3-156, 35-40

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# MOJA SIERPECKA EDUKACJA

## (wspomnienie)

### Gimnazjalistka

Na rozpoczęcie w końcu lutego 1945 r. nauki w gimnazjum w Sierpcu czekałam z niecierpliwością, bo dawno już powzięłam decyzję, że muszę zdobyć solidne wykształcenie.

Gimnazjum miało kłopoty z lokalem. Budynek, który służył tej szkole przed wojną nie od razu nadawał się do wykorzystania. Wymagał solidnego remontu. Mimo to nauka się rozpoczęła. Tymczasowej gościny użyli szkole księża, oddając do dyspozycji kilka pomieszczeń na plebanii przy kościele klasztornym.

O planowanym uruchomieniu gimnazjum dowiedział się od znajomych, mój brat Stanisław. Aby dostać się do I klasy trzeba było zdać egzamin wstępny. W oznaczonym dniu /dokładnej daty nie pamiętam/ wyruszyłam pod opieką brata do Sierpca. Choć bardzo pragnęłam się uczyć opanowały mnie różne wątpliwości, bałam się czy sprostałam zadaniu. Krótko mówiąc miałam duszę na ramieniu.

Sprawdzian nie okazał się zbyt trudny. Z języka polskiego trzeba było opisać najważniejszy dzień w życiu, a z matematyki rozwiązać jakieś nieskomplikowane zadania. Ustnego egzaminu nie zdawaliśmy. Mimo to miałam za sobą poważne doświadczenie. Po raz pierwszy znalazłam się w dużej grupie nie znanej mi młodzieży. Musiałam też wykazać się wiedzą już nie wobec cioci, ale nauczycieli gimnazjalnych, z którymi nigdy wcześniej się nie zetknęłam. Fakt, że ten pierwszy próg przebrnęłam bez kłopotu, natchnął mnie otuchą.

Dyrektorem Gimnazjum i Liceum została Zofia Gałęska, przedwojenna polonistka. Nad naszą klasą, czyli I<sup>a</sup>, gdzie znaleźli się wszyscy najmłodsi /do I<sup>b</sup> i I<sup>c</sup> skierowano roczniki "przerośnięte"/ opiekę sprawował początkowo pan Kazimierz Wierzbicki, kolega brata. Warunki w plebanii okazały się bardzo trudne. Dokuczala ciasnota. Wkrótce na szczęście przenieśliśmy się do własnego budynku przy ulicy Płockiej.

W pierwszym okresie chodziłam do szkoły pieszo, albo odwoził mnie tata lub brat. Na dłuższy dystans okazało się to niemożliwe, ponieważ odległość 7 km była zbyt duża do codziennego pokonywania tam i z powrotem. W międzyczasie mama znalazła stancję. Rozstanie z domem było niemalym przeżyciem. Miałam 12 lat i nigdy dotąd nie opuszczałam domu. Mimo że w soboty po lekcjach odwiedzałam rodzinę, w pierwszych tygodniach było mi ciężko. Pragnęłam jednak uczyć się i miałam świadomość, że przyjdzie mi na tej drodze przełamywać różne trudności.

Na dodatek musiałam pokonać jeszcze jedną ba-

rierę. Dotychczas obracałam się prawie wyłącznie wśród dorosłych. Przejęłam ich sposób rozumowania, wypowiedzania się. W gronie rówieśników i ich zainteresowań poczułam się początkowo obco. Trudno mi było odnaleźć i "zgrać". Uplynieło niewiele czasu i kosztowało mnie to wiele wysiłku, zanim znalazłam wspólny język z klasą.

Zamieszkałam przy ul. Narutowicza u Janiny Wiśniewskiej, wdowy po zmarłym jeszcze przed wojną inżynierze Stanisławie Wiśniewskim który, jak wiedziałam, uczył w gimnazjum biologii. Dwie córki pani Wiśniewskiej, Krystyna i Zosia, również się uczyły. Pierwsza z nich uczęszczała już do liceum, a Zosia uczyła się razem ze mną. Była to okoliczność dla mnie bardzo korzystna, zważywszy, że miałam na miejscu koleżankę obytą w sierpeckim środowisku, znającą wielu profesorów /ze względu na powiązania rodziców/ i zdolną, świetną zwłaszcza z przedmiotów humanistycznych.

Pierwszą klasę przerobiliśmy w tempie błyskawicznym /od marca do lipca/, a ponieważ nasza klasa nie miała zaległości w nauce spowodowanych wojną, w następnym roku uczyliśmy się już jak Pan Bóg przykazał cały rok - od września do czerwca. Ci "przerośnięci z klas "b" i "c" musieli zaliczyć dwie klasy w ciągu jednego roku szkolnego. Podręczników nie posiadaliśmy. Z reguły profesorowie po "odpytaniu" i wyjaśnieniach dotyczących nowego materiału dyktowali to, co należało sobie przyswoić. Na notatkach opierało się całe nauczanie, a ich zawartość treściowa zależała od kompetencji naszych nauczycieli. Z przyjemnością trzeba stwierdzić, że kilku z nich reprezentowało wysoki poziom m.in. dyrektor Zofia Gałęska - znakomita polonistka i Maria Kwiatkowska - historyczka.

W naszej klasie zebrano się niemalże zdolnych uczniów. Za najlepszą uważano Halinkę Mirską, przygarniętą przez rodzinę Kłobukowskich, którzy nawiasem mówiąc mieli także własną córkę - Zosię, uczęszczającą również do klasy I<sup>a</sup>. Halinka, ładna, miła i bardzo inteligentna dziewczyna, pozbawiona w czasie wojny najbliższych, pochodziła ponoć z rodu księżęcego. Po kilku miesiącach wyjechała z Sierpca odnaleziona przez kogoś z rodziny. W drugiej klasie naukę języka polskiego przejęła miła, lecz mniej doświadczona nauczycielka - Henryka Paradowska. W ręce pani dyrektor ponownie dostaliśmy się w klasie maturalnej. Było to doświadczenie tyleż cenne, co trudne. Pierwsza klasówka z panią dyrektorem przyniosła zastraszające efekty - niemalże same dwójki. Wynikła więc konieczność ostrego wzięcia się do roboty.

Prace pisemne mieliśmy zadawane na każdej le-

kcji, a zaważywszy że język polski był codziennie, zmuszało to nas do niemałego wysiłku. Pani dyrektor nie dała się zbyć byle czym i co jakiś czas sprawdzała zeszyty. Gdy weźmie się pod uwagę, że inni profesorowie też "zarządzali" różne powtórki czy poważniejsze prace pisemne, nie nudziliśmy się. Maturę zdawaliśmy jako "humaniści" tylko z czterech przedmiotów - z języka polskiego, z języka francuskiego /egzamin pisemny i ustny/, z historii i nauki o Polsce i świecie współczesnym /egzamin ustny/, ale niektórzy profesorowie przedmiotów niematuralnych uważali, że na koniec niezbędny jest jakiś akcent zamykający nauczanie "ich" przedmiotu. - Do takich osób należał ksiądz Jan Wosiński, który cieszył się zarówno w gronie pedagogicznym, jak i wśród uczniów ogromnym autorytetem. Prefektem w Sierpcu został w 1947 roku. Przed jego przyjściem do szkoły z religii otrzymywaliśmy prawie same piątki. Gdy on się zjawiał, sytuacja radykalnie się zmieniła. Na bardzo dobrą ocenę można było liczyć po opanowaniu bez zarzutu całego programu. Na początku, znikoma ilość piątek, mniejsza niż z tzw. trudnych przedmiotów, ogromnie wszystkich zaskoczyła, a następnie zmobilizowała do nauki, zwłaszcza, że lekcje prowadzone przez księdza Wosińskiego były bardzo ciekawe. On to właśnie zobowiązał nas do napisania w ostatniej klasie całkiem niezablonowej pracy na temat: "Jestem kobietą - co to znaczy i do czego mnie to zobowiązuje?" Chłopcy pisali na ten sam temat - tylko z oczywistą modyfikacją. Z góry wiedzieliśmy, że nie wymigamy się przygotowując zwykle wypracowanie. Ksiądz oczekiwał od nas wyrażenia własnej wizji świata i zaprezentowania dorobku w zakresie kształtowania osobowości i postawy etycznej. Tak widziana rzecz stała się czymś więcej niż sprawdzianem wiadomości, wymagała określenia, jak to, czego nauczyliśmy się, odnosimy do własnego życia.

Do profesorów rzetelnych i wymagających należała też łacinniczka - p. Maria Kucharska. Pojawiła się w Sierpcu, gdy uczęszczałam do ostatniej klasy. Objęła dziedzictwo po Władysławie Ulanowskim, który uczył nas przez 4 lata. Jego poprzedniczką była pani Barbara Wandłówna, ciesząca się dużą sympatią. Mówiła się o niej, że wprowadzie nie przepadamy za łaciną, ale kochamy łacinę w zielonej sukience /bo w takiej właśnie najczęściej p. Wandłówna chodziła/. Chłopcy ułożyli nawet na ten temat jakiś zręczny wiersz dedykowany profesorce. Władysław Ulanowski, choć wykształcony i kompetentny /miał podobno doktorat/ nie nauczył nas wiele i odszedł w dość nieprzyjemnej atmosferze. Solidna praca pani Kucharskiej nad uzupełnieniem luk w naszej wiedzy nie zrekompensowała już wszystkiego, gdyż nie starczyło na to czasu. A szkoda, bo dobra znajomość łaciny bardzo by mi się później przydała w czasie studiów. Do tzw. "pil", umiających przekazać swoją wiedzę i cieszących się nieposzlakowaną opinią trzeba też zaliczyć Hannę Paszke. Córka przedwojennego pastora, niemieckiego pochodzenia, za czasów okupacji swoją postawą budziła wśród Polaków najwyższy szacunek i, jak zresztą cała jej rodzina, mogła stanowić wzór patriotyzmu. Barwną po-

stacją była Maria Zalewska, nauczycielka języka francuskiego. Niezamężna, mieszkała razem ze swoją siostrą germanistką i matką, wdową po doktorze Zalewskim. Przez pewien czas miałam okazję stykać się z tymi paniami codziennie, gdyż mama umieściła mnie na stacji u Zielińskich, w domu tuż przy gimnazjum, gdzie parter zajmowały właśnie trzy wymienione panie. Posiadały one całą stórę psów - jamników gładkowłosych. Gdy ktokolwiek schodził z piętra na dół rozpoczynał się zgiełk nie do opisania. W naszej klasie uczył się m.in. Tomek Gawski, bardzo sympatyczny kolega, dobry uczeń, mający niezłą znajomość języka francuskiego. Na lekcjach błyszczał i ośniewał panią profesor. Na jego widok twarz Marii Zalewskiej jaśniała. Po urodzeniu się kolejnego pokolenia jamników najpiękniejszy z nich i najukochańszy otrzymał imię Tomek.

Z sympatią wspominam też profesor Wandę Chodorowską, która po Marii Kwiatkowskiej przejęła naukę historii w naszej klasie. Zwykle po wejściu do klasy siadała na krzesło i popadała w kilkuminutową zadumę. Patrzyła w okno i zdaje się myślała gdzieś bardzo daleko. Podejrzewaliśmy, że na nowo przeżywa jakieś ważne dla niej chwile. Klasa była wówczas już niewielka i dość zgrana. Po podziale na humanistów i matematyków, pozostało nas, czyli humanistów, bodaj 16 osób, w tym tylko jeden chłopiec - Zygmunt Krasiński. Postanowiliśmy nie przeszkadzać pani profesor. Później oczywiście następowala normalna, przyzwoita lekcja, ale zawsze w atmosferze przyjaznej. Pomogło to prawdopodobnie przebrnąć przez wszystkie problemy, wątpliwości i opory jakie pojawiały się w związku z podawaniem podczas lekcji różnych kontrowersyjnych faktów. A przecież pani profesor uczyła jeszcze na dodatek nauki o Polsce i świecie współczesnym, co sprawiło niemniej kłopotu. A sama, jak, wiedzieliśmy wiele przeszła i zetknęła się osobiście z trudami życia na Wschodzie. Stamtąd właśnie podobno po wojnie wróciła.

Osobą która budziła wiele emocji, był Stanisław Wenderlich - matematyk. Gdy wchodził do klasy zalegała grobowa cisza. Jeśli mu się coś nie podobało, robił się purpurowy. Jego potężna postać, ostry głos, mroziły w nas krew. Po sympatycznym panu Henryku Słomińskim, który uczył w I klasie i spokojnej, dystygowanej Urszuli Chrapkowskiej /II klasa/, nie mogłam się przestawić. I choć na koniec roku prawie nie stawał dwój i za swoją szorstkością krył podobno dobre serce, matematykę obrzydził mi dokładnie i całkowicie. Dopiero, gdy moje dzieci uczyły się tego przedmiotu znów spojrzałam nań normalnie i stwierdziłam, że to coś bardzo ciekawego i harmonijnego.

Wśród pedagogów, którzy uczyli mnie najdłużej trzeba jeszcze wymienić czterech panów. Bardzo wymagającego, traktującego uczniów z dystansem, ale i obiektywizmem, fizyka - p. Zygmunta Werdenowskiego, nauczyciela najpierw śpiewu, a później geografii - Romana Michalskiego, nazywanego przez nas skrzytko-globusem, a także Stefana Tamowskiego i Henryka Gomulickiego. Tamowski, artysta-plastyk, roztaczał przed nami świat kolorów i linii z dużym znanstwem. Mógłby, jak mi się wydaje,



wiele z siebie dać i uczynić lekcje rysunków czymś cennym w naszym szkolnym życiu. Niestety zupełny brak dyscypliny na jego zajęciach przekreślił te szanse. Henryk Gomulicki, nasz wieloletni wychowawca, prowadził lekcje wychowania fizycznego. Życzliwy, prawy człowiek, bardzo zabiegał o to, by jego klasa wyróżniała się w szkole. Cieszył się z naszych sukcesów, ostro wypominał wszelkie wybryki, zabiegał by w sali, gdzie uczyliśmy się było ładnie. Miał zdolności plastyczne i wykorzystywał je do stałego upiększania naszej klasy. Któregoś roku, po wakacyjnym remoncie na czyste wprawdzie, ale zuniformizowane, kremowe ściany, wprowadził ciekawe kolorowe akcenty plastyczne. Kosztowało go to zapewne немало pracy, ale frajda była niesamowita. Wszyscy nam zazdrościli. Kilka lat temu, w Muzeum Literatury w Warszawie uczestniczyłam w spotkaniu z Juliuszem W. Gomulickim, który mówił o swojej pracy nad spuścizną Norwida. Miałam okazję z nim rozmawiać i wspomnieć swego wychowawcę. Upewniłam się wówczas, że Henryk i Juliusz to rodzeni bracia. Niestety pan Henryk wówczas już nie żył.

Maturę zdawaliśmy w 1950 roku, gdy nie było już podziału na 4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum. W 1948 r. wprowadzono jedenastolatkę, w związku z czym po ukończeniu IV klasy gimnazjum, znaleźliśmy się nie w I klasie liceum a w X klasie szkoły ogólnokształcącej. Nie bardzo nam to odpowiadało. Status licealisty, w naszym wyobrażeniu, miał swoją rangę, nie to co X czy XI klasa. Niestety nikt nas o zdanie nie pytał. Pocieszałyśmy się więc, że tak czy inaczej, naukę w szkole średniej zamyka świadectwo dojrzałości, którego nazwy na szczęście nikt nie zmienił. Wówczas jeszcze posiadanie matury uważano za niemałe osiągnięcie, tym bardziej, że niewiele osób mogło się nim wylegitymować. Tu trzeba dodać, że prawdziwym szacunkiem cieszyła się matura przedwojenna. Nigdy nie zapomnę jak zachowywali się gospodarze z mojej wsi, przychodzący do nas z prośbą o pisanie różnych próśb i podań. Zwracali się o to wyłącznie do brata, który ukończył szkołę średnią przed wojną i był uważany za człowieka naprawdę wykształconego. Kiedyś jednak nie zastali go, co spowodowało wyraźne zaniepokojenie. Sprawa widocznie nie cierpiała zwłoki.



Maj 1950 r. Klasa maturalna rocznika 1949/1950 Liceum Ogólnokształcącego w Sierpcu. Autorka wspomnień - czwarta z prawej strony w trzecim rzędzie (od góry). W drugim rzędzie od dołu profesorowie - piąta od prawej dyrektor Zofia Gałęska, czwarty od lewej prefekt - ks. Jan Wosiński - późniejszy biskup plocki.

Ponieważ przebywałam wtedy w domu, zaproponowałam swoją pomoc, a muszę dodać, że wówczas ukończyłam już studia. Niestety podziękowano mi grzecznie i zapytano, kiedy wróci brat.

Ale my swoją maturę ceniliśmy wysoko i przeżywaaliśmy w ogromnym napięciu. Najwięcej emocji wiązało się z egzaminem z języka polskiego. Temat pracy pisemnej brzmiał: "Mickiewicz, Słowacki, Krasiński wobec rewolucji społecznej". Na ustnym mówiłam o wielkiej emigracji w literaturze. Pewnie pod wpływem wysokiej temperatury egzaminacyjnej, zagadnienie przedstawiłam z dużym zaangażowaniem emocjonalnym. Czułam, że moje wzruszenie wyraźnie udzielało się komisji.

Egzaminy ustne "zaliczaliśmy" za jednym zamachem. Wchodziliśmy na salę trójkami. Znalazłam się razem z Bogusią Berkanówną i Zosią Kłobukowską. Wyciągałyśmy po kolei kartki z pytaniami z poszczególnych przedmiotów i zdawałyśmy. Po języku polskim przyszła kolej na historię. Wypadło mi mówić o powstaniu i rozwoju Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Z nauki o Polsce i świecie współczesnym trafiłam na Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową /tak właśnie brzmiał temat/. Egzamin z francuskiego nie utkwiał mi w pamięci. Najbardziej też wypadł. Podczas gdy z pozostałych przedmiotów otrzymałam oceny bardzo dobre z francuskiego musiałam się zadowolić dobrą.

Tak więc matura, wcześniej powodująca tyle obaw, przyniosła wiele satysfakcji i napelniła wiarą we własne siły. Muszę się przyznać, że szczególnie jednak ceniałam sobie piątkę z języka polskiego. Może dlatego, że w trudzie się na nią zarabiało i wydawała się taka nieosiągalna. Niespodzianką natomiast i to szokującą stał się dla mnie stopień z religii. Gdy otrzymałam świadectwo dojrzałości okazało się, że zamiast oczekiwanej piątki, widnieje tam czarno na białym ocena dobra. Zrobiło mi się przykro. Po chwili zapytałam Madzię Symoniównę, niekwestionowaną piątkową uczennicę, co tym razem otrzymała. Okazało się, że też czwórkę. Choć z niewyraźnymi minami, odważyłyśmy się poprosić o wyjaśnienie osobę najbardziej kompetentną - czyli księdza. Ten zapewnił, że wystawił nam piątki. Dodał też, że powinniśmy zażądać konfrontacji z arkuszami ocen i w konsekwencji zmiany oceny na maturze. Wzburzone zwróciliśmy się z tą sprawą do naszego wychowawcy, Henryka Gomulickiego. Popatrzył na nas, lekko się uśmiechnął i zapytał, czy zamierzamy studiować i czy wiemy, jakie trudności na tej drodze czekają nas, córki kulaków. Przez chwilę nie rozumialiśmy o co chodzi, po czym pojęłyśmy, że oto doświadczamy próby udzielania nam, choć w sposób dość oryginalny, pomocy. Zrobiło się całkiem głupio. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że wszelkie działania w tej kwestii mogą spowodować zamieszanie w szkole i przykrości dla osób kierujących się przecież dobrymi intencjami. Postanowiłyśmy zrezygnować z jakichkolwiek interwencji.

Gdy ochłonęłyśmy z emocji egzaminacyjnych, trzeba było pomyśleć o balu maturalnym. Sukienkę, dość skromną, miałam wcześniej uszytą na wesele luzynki. Pozostało więc tylko uczesanie. Po raz pier-

wszy wystąpiłam w roli osoby, której głową trzeba się poważnie zająć. Sympatyczna pani fryzjerka, doprowadzająca moje włosy do porządku, zwracająca się do mnie per "ty", zainteresowała się na jaką to okazję pragnę stać się piękna. Odpowiedziałam, że na bal maturalny. Zapytała więc jeszcze przez kogo zostałam zaproszona. Oświadczyłam, że to ja właśnie /choć dopiero przed kilku dniami skończyłam 18 lat i wyglądałam smarkato/ jestem jedną z absolwentek. Informacja spowodowała natychmiastową zmianę w tonie rozmowy i przejście wobec mnie na formę "pani".

Bal maturalny udał się wspaniale. Orkiestra przestała grać o 6<sup>00</sup> rano. Całonocne płąsy niestety wyraźnie czułam w nogach. Odległość dzieląca mnie od domu /7 km/ wydawała mi się jeszcze większa niż zwykle. Cóż jednak miałam robić. Poszłam na poranną mszę do Kościoła farnego, gdzie zamierzałam nie tylko się pomodlić, ale także pozwolić odpocząć nogom, po czym skierowałam się ku Wilczogórze.

### Po maturze

W ten sposób zamknął się pewien etap w naszym życiu. Stało się pytanie, co dalej robić. Niemal wszyscy postanowili ubiegać się o indeks. i na ogół starania te przyniosły pozytywne rezultaty. Z kręgu bliźszych mi koleżanek Zosia Wiśniewska została przyjęta na medycynę, Grażyna Waszczewska i Irka Pelkowska na stomatologię. Natomiast dzieciom rodziców uważanych za wrogów Polski Ludowej, drogę do studiów przetała ks. Wosiński, który wybierał się na Katolicki Uniwersytet Lubelski i udzielił wszelkich niezbędnych informacji o warunkach dostania się na tę uczelnię. Z możliwości tej skorzystała Madzia Symoniówna ze Studzieńca, Fila Piotrowska z Babca Piasecznego, Zosia Kłobukowska /córka właściciela młyna i dużego gospodarstwa/ i Wanda Lendzionowska /córka właściciela dużej kamienicy w Sierpcu/.

Oprócz dziewcząt z mojej klasy studiowały tam też starsze koleżanki: Anka Rajkowska, córka lekarza z Sierpca /obecnie Borowska, dość znana dziennikarka, związana z czasopismami orientacji paxowskiej/ oraz Zdzicha Cybulska.

Moji rodzice nie mieli środków na dalszą naukę, wobec czego na razie pogodziłam się z sytuacją, licząc na lepszą przyszłość. Jednakże zdecydowana byłam studiować, gdy tylko stanie się to możliwe, filologię polską. Na wybór wpłynęła w znacznym stopniu dyrektorka Zofia Gałęska, ale przeważały moje zainteresowania i nastawienie na pracę z książką w przyszłości.

Jednak zanim znalazłam się na uniwersytecie, przeżyłam różne perypetie związane z moim pochodzeniem. Dość wczesnie pozwolono nam odczuć, że życie w Polsce Ludowej nie będzie dla nas usłane różami. Ciężary w postaci podatków i obowiązkowych dostaw zboża i żywności przerastały możliwości gospodarstwa, zwłaszcza że pozbawiono "kulaków" szansy odpowiedniego wzbogacenia ziemi. Nawozy sztuczne były dla małych i "średniaków". Jak więc można się spodziewać plony spadały. Niedostatek pogłębiał się. Z powodu niewywiązywania się

z nakładanych na gospodarstwo obciążeń, ciągle na jeździli nas sekwestраторzy. W tym właśnie okresie straciliśmy kupiony tuż przed wojną piękny wolant, który udało się ochronić przez całą okupację. Został zabrany na poczet podatków. Coraz też bardziej zmniejszała się ilość inwentarza. Szykany ze strony władz stopniowo narastały. Trzeba przyznać, że spotykały się z pełną wzajemnością ze strony kulaków. Gdy odbywało się referendum w 1946 r., na które żądano odpowiedzi w postaci trzy razy "tak", ojciec z przekorą twierdził, że na któreś z pytań odpowiedział trzy razy "nie"... Jak się po cichu informowano, znajomi głosowali podobnie, choć aż tak nie potęgowali swojej negacji, ograniczając się do jednego "nie". W czasie wyborów do sejmu natomiast gremialnie poparto Mikołajczyka. Tyle, że akty sprzeciwu nie miały żadnego znaczenia. Głosowanie zawsze wypadło jednomyślnie i rzecz jasna zgodnie z intencjami organizatorów.

Poczucie bezpieczeństwa w naszej rodzinie stało się kurczyło. Wizja kolchozów przerażała i powodowała podejmowanie decyzji chroniących przed jej skutkami. Rodzice pragnęli przede wszystkim zabezpieczyć naszą przyszłość. Brat Stanisław, po zwolnieniu z wojska, gdzie ciężko zachorował na tyfus, wrócił do pracy w szkole. Ja uczyłam się. Postanowiono, że również siostra Zofia będzie się dokształcać. Gdy zaczęła uczęszczać do gimnazjum wieczorowego zamieszkałyśmy razem u Geni Bojenkowej kuzynki w Sierpcu. Byłam wówczas w drugiej klasie. Siostra ucząc się w trybie przyspieszonym /dwie klasy w ciągu roku/, po dwóch latach otrzymała małą maturę i rozpoczęła pracę w szkole jako nauczycielka w Kuskach. Dokształcała się jeszcze przez trzy lata na kursach nauczycielskich w Płocku, gdzie zdała maturę. W najtrudniejszej sytuacji był brat Tadeusz posiadający żonę i syna Henryka. Od początku wojny ciężko chorował na gruźlicę i w 1953 r., zmarł. Stało się to gdy już studiowałam.

Zanim otrzymałam indeks zdecydowałam się popracować. Rodzina ze względu na trudne warunki materialne, nie zachęcała mnie do studiów i ostrzegała, że nie mogę oczekiwać pomocy z jej strony. Liczyłam na to, że pracując przez rok w szkole zdolam kupić sobie kilka niezbędnych rzeczy z odzieży. Żywiłam też nadzieję, że "zmyję" z siebie w ten sposób piętno kulactwa i ułatwię start na uczelnię jako samodzielna osoba, niezależna od rodziny, mająca szansę na stypendium.

Niestety nie udało się. Uczyłam w Szkole Podstawowej w Jeżewie, wsi, w której bezskutecznie próbowano założyć koło Związku Młodzieży Polskiej. Gdy kolejne usiłowania nie dały rezultatu, postanowiono tym bojowym zadaniem obdarzyć właśnie mnie. Któregoś popołudnia zjawili się dwóch działaczy z Sierpca, żądających ze mną poufnej rozmowy. Ogromnie się zdziwiłam, gdy zapytali o jakieś pomieszczenie zamykane na klucz. Mieszkałam u sympatycznych starszych ludzi p. Jabłońskich. Ich córka Zofia zajmowała się szyciem i czasem rzeczywiście trochę ludzi się kręciło, zwłaszcza klientki pani Zosi. Oczywiście znalazł się spokojny kąt, lecz wymiana

zdań między moimi rozmówcami i mną spokój niestety mocno zamąciła. Długo i uporczywie namawiali mnie, abym podjęła się organizacji i prowadzenia koła ZMP, obiecując, że wówczas mogą liczyć na poparcie w staraniach o studia. Jasne stało się, co będzie, gdy uchylę się od narzuconego zadania. Tłumaczyłam, że jako początkująca nauczycielka, muszę wiele czasu poświęcić przygotowaniu się do lekcji, co niestety ich nie przekonywało. Nie mogłam się zdobyć na to, by wprost powiedzieć, jak bardzo ich propozycja mi nie odpowiada. Ale i tak zrozumieli i w końcu odjechali z kwitkiem, a ja mogłam już tylko myśleć o nauce na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

### **W dalekim Lublinie**

Po roku pracy zgłosiłam się więc na KUL. Aż dziwię się, że miałam tyle odwagi. Gdy wyjeżdżałam z domu, oprócz obaw o środki na studia, dochodził brak pewności, czy zostanie przyjęta. Przecież o tym decydował egzamin wstępny. Choć ograniczony tylko do pracy pisemnej z języka polskiego, jak się później okazało, mocno przzerzedził szeregi kandydatów /rok wcześniej nie było jeszcze egzaminu wstępnego/. A jednak wzięłam z sobą wszystkie rzeczy, z ciepłą wełnianą koldrą i poduszką włącznie. Nadźwigałam się solidnie, ale sympatyczni współtowarzysze podróży pomogli mi trochę i jakoś dostałam się na miejsce. Na szczęście wszystko poszło dobrze. Zostałam przyjęta na studia. Pierwsze dni pobytu w Lublinie nie należały jednak do łatwych. Udostępniono nam kilka sal wykładowych, gdzie osoby nie mające żadnego lokum, a było ich niemało, mogły się zatrzymać. Otrzymaliśmy jakieś sienniki czy materace, rozłożone jeden przy drugim, z bardzo wąskimi przejściami, między którymi z trudnością się przeciskaliśmy. Gdy zaczęły się wykłady musieliśmy się stąd wynieść. Na szczęście znalazłam sobie kącik u starszej osoby ciężko chorej i leżącej, Marii Piątkowskiej, przy ul. Bronowickiej. Mieszkałam tam z Teresą Churską, obecnie warszawianką, ale rodem z Sierpca.

W następnych latach otrzymałam dom akademicki, gdzie było o wiele wygodniej. Przede wszystkim miałam do własnej dyspozycji łóżko. U pani Piątkowskiej, w ciasnym pokoiku, który z nami dzieliła, spałam razem z Teresą.

Najbardziej jednak liczył się fakt, że jestem już na studiach. Wydawało mi się to tak wielkim szczęściem, że niekiedy zastanawiałam się czy to prawda, czy tylko złudny sen.

Atmosfera na uczelni odpowiadała mi w największym stopniu. Odwoływanie się do wielu źródeł, dotyczących zagadnień, z którymi się zaznajamialiśmy, całościowe spojrzenie na problemy, stwarzało szanse pełnego ich pojmowania. Dawało wreszcie szeroki oddech i odsłaniało nowe horyzonty. Może odczuwałam to tym milej, że na KUL-u wyeliminowano "ideologię", która wciskała się wówczas wszędzie w sposób natrętny i deformujący fakty. Tu tymczasem miało się wreszcie komfort obcowania z mądrymi ludźmi i chłonięcia obiektywnej wiedzy. Nie mówiąc już o wspaniałych profesorach, studiowało wówczas wielu bardzo zdolnych ludzi. Z ogólnie znanych był

na moim roku pisarz Wiesław Myśliwski oraz szef polskiej Kinematografii w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, nieżyjący już niestety, Juliusz Burski.

Choć studia sprawiały mi wiele radości /z wyjątkiem napięć przedegzaminacyjnych, które zresztą z perspektywy też miłe wspominam/ okres ten przetrwałam z wielkim trudem. Cień, bardzo przykry, rzucały kłopoty materialne. Próbowalam trochę zarobić. Przez rok pracowałam, na początku jako kelnerka w stolówce akademickiej, a później jako bibliotekarka w Zakładzie Prawa Kanonicznego. Potem niestety kłopoty ze zdrowiem uniemożliwiły mi pracę. Stypendium też nie mogłam otrzymać, ponieważ KUL podlegał zarządzeniom analogicznym jak inne uczelnie i nieszczęsne hektary przekreślały sprawę. W konsekwencji pozostało już tylko oszczędzanie i minimalizowanie potrzeb do granic możliwości. Na szczęście przetrwałam. Także wszyscy sierpczanie z honorem zakończyli studia. Ksiądz Jan Wosiński, który cieszył się z naszych sukcesów i stanowią dla nas wspaniałą podporę moralną, wyjechał z Lublina z doktoratem, po czym wrócił do Sierpca, ale wkrótce został rektorem seminarium w Płocku, a następnie biskupem pomocniczym w tej diecezji.

Lubelskie lata, choć trudne i głodne, kojarzą mi się zawsze z ludzką życzliwością, mądrością i dobrocią. Nawet korygowanie błędów przez naszych profesorów odbywało się w taki sposób, by nikomu nie sprawiać przykrości. Jeden z bardzo drobnych incydentów mocno utkwił mi w pamięci. Gdy odczytując na seminarium z gramatyki opisowej /I rok studiów/ jakiś tekst doszłam do słowa "mieć", nadałam mu brzmienie "mazowieckie", z czego wyszło "mnieć". Nie uświadamiałam sobie dotychczas, że to błąd. Jednakże delikatna prośba pani dr Marii Kosowskiej, świetnej metodyczki, która wzbudziła we mnie niemal miłość do wykładanego przedmiotu, aby powtórzyć przeczytany dopiero co wyraz, uświadomiła mi, że coś nie w porządku. Moment zastanowiłam się i przyszło olśnienie. Odczytane teraz już właściwie słowo skojarzyłam oczywiście z analogicznymi sytuacjami językowymi i zapamiętałam na całe życie.

W Lublinie spotkała mnie także bardzo miła niespodzianka mająca związek z rodzinnymi stronami. Będąc bodajże na III roku zostałam wezwana do księdza rektora. Bardzo mnie to zdziwiło, jako że wszelkie sprawy studenckie załatwiał dziekanat lub kierownik domu akademickiego. Gdy stawiałam się o określonej porze, zamiast Jego Magnificencji otworzył mi drzwi przystojny, sympatyczny ksiądz w średnim wieku. Zaskoczona wylegitymowałam się po co tu jestem. W odpowiedzi na to zostałam serdecznie przywitana i zaproszona do środka. Okazało się, że był to ksiądz Adam Śniechowski, przyjaciel księdza rektora i od pewnego czasu, o czym nie wiedziałam, prorektor KUL. Natknął się na moje nazwisko przeglądając listę studentów. Spokrewniony przez matkę, pochodzącą z Gniazdowskich, z moją rodziną po linii mamy, postanowił, jak stwierdził, odszukać krewniaczkę. Wilczogórę opuścił bardzo dawno. Uczył się w gimnazjum w Sierpcu razem z moim bratem Stanisławem, a później miał gdzieś daleko



parafię. Kontakty były na tyle rzadkie, że nie rozpoznałabym go, a on mnie. Spotkanie ponad 300 km od domu, stało się czymś ogromnie ważnym.

### "Felerny" dyplom

W 1955 r. ukończyłam studia, a późną jesienią tegoż roku złożyłam pracę magisterską. Obrona odbyła się w lutym 1956 roku. Odczuwałam ogromną satysfakcję, gdyż w tym czasie magisterium nie było jeszcze tak częste jak obecnie. Nawet w szkołach średnich uczyli ludzi bez ukończonych studiów wyższych. Ale mój KULowski dyplom nie wszystkim zachwycił, a już najmniej potencjalnych pracodawców.

Wiedziałam to już wcześniej, ale co innego słyście o doświadczeniach innych, a co innego odczuć pewne dolegliwości na własnej skórze. Tak więc usilne moje starania o pracę nie dawały rezultatu. Udało mi się jedynie zahaczyć od 1.IV.-30.VI.1956 r. w jednej ze szkół podstawowych w Płocku, gdzie zastępowałam chorą nauczycielkę. Było to możliwe dzięki protekcji Alfreda Giżyńskiego, ówczesnego prezesa Sądu Grodzkiego w Płocku. Alfred, mój stryjeczny brat /jego i mój ojciec byli braćmi/, udzielił mnie też gościny w swoim domu, dzięki czemu żyłam się zarówno z nim, jak i jego żoną Pelagią. Ich starsza córka Irka, moja równieśnica, studiowała wówczas w Łodzi prawo, a młodsza, Basia, uczyła się w szkole podstawowej, w której zostałam właśnie zatrudniona.

Choć pomoc ze strony Alfreda nie rozwiązała na stałe moich kłopotów z pracą, wspólne mieszkanie z nim i jego rodziną miało dla mnie pozytywne znaczenie. Nasiątkiem atmosferą optymizmu, a także ugruntowałam się w przekonaniu, że trudności są po to, aby je przełamywać. Dowiedziałam się też wówczas co nieco więcej o losach brata Alfreda-Lucjana, przedwojennego oficera, wspaniałego człowieka, lubianego przez całą rodzinę, który brał udział w Powstaniu Warszawskim. Pod pseudonimem "kapitan Gozdawa" dowodził obroną Starówki. Po upadku powstania zdołał wydostać się z miasta i po różnych perypetiach dotarł na Bliski Wschód, gdzie niestety zachorował na gruźlicę i zmarł. W późniejszym czasie jego losy opisał Fajer, adiutant Gozdawy, w książce "Żołnierze Starówki" oraz Z.K. Wróblewski w publikacji "Pod komendą Gozdawy".

Po powrocie z Płocka znów stanęło przede mną trudne zadanie poszukiwania pracy. Chodziłam do szkół, bibliotek, pisałam podania. Mówiono, że nie ma wolnego miejsca. Mama pocieszała mnie i zachęcała do pozostania w domu. Zapewniała, że przecież mam u rodziców utrzymanie, tłumaczyła, że cieszy się z mojego pobytu w Wilczogórze i prosi, abym już poniechała poszukiwań, bo gdzie mi będzie lepiej niż w domu. Wdzięczna mamie ze serce i gotowość dzielenia się wszystkim, co posiadała, nie mogłam jednak zdecydować się na rezygnację z pracy zgodnej z moimi zainteresowaniami i wykształceniem. Zresztą gospodarstwo rodziców, w dotychczasowym kształcie, definitywnie się kończyło. Oboje byli już starzy i czuli się zmęczeni szarpaniną, trwającą przez cały okres powojenny. Wśród wielu trudności, którym musieli stawiać czoło szczególnie dokuczalnym brakiem rąk do pracy. Po 1945 roku nie mieli

już stałej służby. Występowały też kłopoty z robotnikami wynajmowanymi sezonowo. W związku z tym brat, uczący w wilczogórskiej szkole, po lekcjach zabierał się do pracy na roli. Niestety, w 1953 roku został przeniesiony do Sudrag. Stał się kierownikiem dużej, na warunki wiejskie, bo liczącej wówczas ponad 200 uczniów szkoły. Inspektor szkolny, pan Grabowski, traktował to jako awans, podkreślił że ceni brata i dostrzega osiągnięcia przez niego bardzo dobre wyniki w pracy pedagogicznej. Ale przyznał także, że decyzja dotycząca przeniesienia została mu narzucona "z góry" i nie może ulec zmianie - Kulak - kierownikiem szkoły w rodzinnej wsi?! - ten fakt bardzo kłuł w oczy ówczesne władze, więc uznano iż tolerowanie takiego stanu rzeczy jest niemożliwe. Powrót brata do Wilczogóry nastąpił dopiero w 1969 r. Tymczasem w 1956 roku siostra wyszła za mąż za Władysława Mazuchowskiego, który przejął pieczę nad gospodarstwem. Szwagier, PSLowiec, zwolennik Mikołajczyka, angażujący się politycznie, w 1947 roku został aresztowany pod zarzutem przechowywania broni. W więzieniu przebywał do 1955 roku.

Wkrótce po osiedleniu się szwagra w Wilczogórze doszło do rozpisania majątku rodziców między dzieci (część przypadająca zmarłemu bratu Tadeuszowi została przeznaczona wdowie po nim i synowi Henrykowi). W ten sposób zmniejszyły się obciążenia nakładane na gospodarstwo. Bratowa i Henryk sprzedali swoją ziemię, moja część (8,5 ha) została wydzierżawiona, resztę, czyli połowę dotychczasowego areal, uprawiał szwagier.

Dla rodziców, którzy przez całe życie zabiegali, aby nic nie uronić ze swej posiadłości, było to ciężkie przeżycie. Choć sami podjęli tę decyzję, wyczuwało się ich przygnębienie i smutek. Wyrażnie się też w tym czasie postarzeliz.

Ale nadchodziły już mimo wszystko lepsze czasy. Wraz z objęciem władzy przez Władysława Gomułkę, nastąpiła "odwilż", w wyniku czego mogłam znów wyruszyć w świat.

Dotychczas, na moje liczne podania o pracę, wysyłane w różne strony Polski, otrzymywałam odpowiedź odmowną lub spotykałam się z milczeniem. W końcu 1956 roku, tuż po "październiku" nadeszły dwie propozycje - jedna ze Szczecina, druga z Olsztyna. Tę ostatnią wybrałam ze względu na mniejszą odległość od domu.

Od 1 stycznia 1957 roku zostałam zatrudniona przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Olsztynie. W przeddzień wyjazdu miałam sympatyczny i znamienity sen. Znalazłam się na polanie pokrytej wspaniałą, soczystą zielenią, rozpościerającą się przede mną, jak zdołałam okiem sięgnąć. Obudziłam się nastawiona optymistycznie. Istotnie, okazało się, że okres olsztyński - bardzo długi - wniósł w moje życie nowe, cenne treści. Tam wyszłam za mąż i pracowałam zawodowo aż do przejścia na emeryturę. Związałam się z bibliotekarstwem, pełniąc różne funkcje, a przez ostatnie 20 lat kierowałam działalnością sieci bibliotek publicznych na terenie miasta Olsztyna.